

Marta Oczkowska, jak wiele innych ludzi, zadawała Bogu pytanie: dlaczego akurat moją rodzinę to spotkało? Dziś wie, że nie o taką perspektywę w życiu chodzi.

W jej rodzinnym domu wiara zawsze była na pierwszym miejscu. Rodzice nie zmuszali do niej dzieci, ale dawali przykład życia. Msza św. w niedzielę i święta, poranny i wieczorny pacierz. To była norma. Marta i Arkadiusz od sześciu lat tworzą szczęśliwe katolickie małżeństwo. Zawsze chcieli mieć potomstwo. W swoje pragnienie wplotli głębokie zaufanie Bogu i modlitwę. Kiedy okazało się, że Marta jest w ciąży, i to bliźniaczej, ogarnęło ich wielkie szczęście. A potem przyszedł cios.

W swoich staraniach o dziecko państwo Oczkowscy m.in. pielgrzymowali na Jasną Górę. Tam napisali list do Matki Bożej. Prosilili o dar potomstwa. Koleżanka Marty poradziła jej, by zwróciła się o pomoc do św. Dominika, tzw. świętego od kołysek, patrona niewiast niepełnych, brzemiennych i rodzących. – Napisałam list do sióstr dominikanek z Krakowa, od których otrzymałam pasek św. Dominika, dar dla małżeństw, które pragną mieć dzieci, ale napotykają różne trudności. Modliłam się, ufałam, nosiłam pasek pod ubraniem. I nagle Pan Bóg w obdarzył nas bliźniaczkami. Przyjmowałam to jako nagrodę za zaufanie – opowiada Marta Oczkowska.

Z czasem okazało się, że ciąża nie przebiega prawidłowo. Matka modliła się słowami: „Jezu, ufam Tobie, Ty się o wszystko zatroszcz”. W końcu miliczanka urodziła przedwcześnie dwie dziewczynki. Lekarze nie dawali im dużych nadziei. Ostrzegali, że dzieci mogą być jak rośliny. – Przyszły na świat 7 kwietnia, w 27. tygodniu ciąży. Obie przeszły wylewy, Ala 2. i 3. stopnia, Monika 3. i 4. stopnia. W szpitalu lekarze odebrali nam wszelką nadzieję na normalne funkcjonowanie dzieci – wspomina M. Oczkowska.

Przez trzy miesiące po porodzie Marta czuwała przy dzieciach. Zanim szła do dziewczynek, zaglądała do szpitalnej kaplicy. Okres narodzin przypadł na Wielki Post i Wielkanoc. – Rozważaliśmy z mężem Drogę Krzyżową. Uświadamialiśmy sobie, że po męczeńskiej śmierci Jezusa przyszło zmartwychwstanie. Cierpliwie czekaliśmy na te lepsze chwile także w naszym życiu – wspomina Marta. Często zastanawiała się, wylewając morze łez, dlaczego spotkało to akurat jej rodzinę. Przecież dbała o siebie, o dzieci w łonie, przestrzegająca zasad, żeby wszystko skończyło się dobrze. – Zastanawiałam się, czemu inne matki rodzą we właściwym terminie zdrowe dzieci, mimo że palą papierosy w ciąży czy popijają alkohol – opowiada miliczanka.

Z pomocą przychodził mąż: „Nie wiesz, dlaczego to dotknęło ciebie i może nigdy nie poznasz odpowiedzi. Nie znamy planów Bożych, ale uwierz, że Bóg ma w tym jakiś cel”. – Nie zapomnę tych nocy w szpitalu, kiedy potrzebowałam wsparcia i obecności Arka. Lekarze przymykali oko, by mógł po porodzie czuwać przy mnie na rozłożonym obok łóżka kocu. Wtedy żyliśmy ze świadomością, że Monisia w każdej chwili może umrzeć – opowiada Marta.

Ponieważ mieszka w Miliczu, wiedziała, że nieopodal są ludzie, którzy zajmują się przypadkami diagnostyki i rehabilitacji wczesnej interwencji. Milickie Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci i Osób Niepełnosprawnych wzięło rodzinę Oczkowskich pod swoje skrzydła. Zespół wczesnej interwencji opracował plan rehabilitacji i leczenia. – Zawsze wiedziałam, z jakich zajęć i dlaczego korzystamy. Pokazano mi, jak mam z dziewczynkami pracować w domu. Nie tylko pomagano moim córkom, ale też zwiększano moje kompetencje w zajmowaniu się nimi. Pracowników MSPDiON traktuję jak anioły, tylko u nich nie widać skrzydeł – mówi dziś M. Oczkowska.

Teraz dziewczynki mają 3,5 roku. Poporodowe prognozy lekarskie zupełnie się nie sprawdziły. Ala nie korzysta już z rehabilitacji. Nadrobiła wszystko w stosunku do rówieśników. Nie odbiega od normy w przedszkolu, a niektóre rzeczy nawet wykonuje ponad program. – Ludzie, którzy nie znają naszej historii, nawet się nie domyślają, że Ala jest wcześniakiem. Tak dobrze została wyprowadzona – podkreśla Marta.

Monikę natomiast nazywa jeszcze większym cudem. – Mam przed sobą wypis ze szpitala i gdy patrzę na dzisiejszą sytuację, nie mogę uwierzyć – wzrusza się matka. Dziewczynka ma obniżone napięcie mięśniowe, dlatego korzysta z rehabilitacji ruchowej. Można z nią normalnie porozmawiać. Jest bardzo aktywna i wesoła. A miała nie jeść, nie widzieć, nie chodzić, nie oddychać...

Marta dzieli się swoją historią, bo pamięta, że gdy znalazła się w dołku, właśnie takie opowieści ją mobilizowały, by nie zrezygnować, ale walczyć z wiarą o normalne życie dla swojej rodziny. – Wiem, co mówię, bo byłam w takiej sytuacji i teraz chciałabym, żeby inni w sobie odnaleźli tę wiarę. Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych – podsumowuje.

Źródło: wiara.pl